

Etchemendy Nancy
Świątynia nad rzeką

(The River Temple)

Z "NF" 7/92

Przyjacielu, okazałeś mi życzliwość, choć jestem tu obcy, ja, schorowany podróżny przybywający z miejsca, którego nazwa niewiele mówi ludziom z tych stron. Choć znam cię zaledwie od godziny, wierzę, że dobry z ciebie człowiek i mocny, jakim i ja sam niegdyś byłem. Jeżeli przez czas jakiś zdołasz znieść mój widok, usiądź i posłuchaj. Oby moje słowa była jak ziarno, co na przyjazną padnie glebę, bo Podróż Księgi nie może zakończyć się tutaj.

Powiadają, że matka moja straciła wiele dzieci, zanim urodziła moje siostry, Arain i Merę. Jakże cudowne musiały się jej wydać, bo przecież jedno zdrowe dziecko to już skarb, a dwa naraz to prawdziwy cud. Moje siostry wyszły z łona razem, podobne do siebie jak dwa źdźbła złotej pszenicy, co z jednego wykiełkowały ziarna. Od dnia narodzin włosy ich były białe i lśniące, oczy fioletowe jak mgły rzeczne o zmierzchu, a skóra niby kość słoniowa bez skazy. W mieście Handred powiadano, że sam Feder je zesłał, a ich piękność daje świadectwo potędze boga.

Moje siostry miały zaledwie osiem lat, ja zaś byłem dwuletnim dzieckiem, kiedy rodziców naszych zamordowali najeźdźcy z Nupasku. Sami pochowaliśmy matkę i ojca, czyniąc ofiarę całopalną z ich włosów, by Feder uśmiechnął się do miasta Handred i obdarował nasze kobiety wieloma dziećmi.

Nie należeliśmy do szlachetnie urodzonych, mogło się więc zdarzyć, że resztę dzieciństwa spędzilibyśmy wśród ulicznych łobuzów. Stałoby się tak, gdyby nie pobożni ludzie z miasta. Pobożni spoglądali łaskawym okiem na Arain i Merę, bo ich piękność była oznaką bożej łaski, a i na mnie patrzyli łaskawie, ponieważ byłem ich bratem. Nigdy nie brakło nam pożywienia czy ciepłego schroniska.

Pewnego wiosennego wieczoru przyszła do nas wysoka, blada kobieta ze świątyni. Długo rozmawiała z Arain i Merą. Powiedziały mi później, że na imię ma Jana i że jest Najwyższym Pułkownikiem Służby. Słyszałem już przedtem o Najwyższym Pułkowniku. Wiedziałem, jaka jest ważna. I nieskalaną mądrością dziecka wyczułem, że jej wizyta wniesie wielkie zmiany w nasze życie.

Rzeczywiście, wniosła. W niedługi czas potem Arain i Mera wstąpiły do Wielkiej Szkoły i widywałem je teraz o wiele rzadziej. Wtedy dopiero zacząłem zdawać sobie sprawę, jak różni się od siebie. Ja byłem zwyczajny. Przynależałem do gromady ulicznych dzieciaków i byłem przez nie akceptowany

tak, jak nigdy moje siostry. I wiedziałem, że Najwyższy Pułkownik nie przysłałaby po mnie.

Zamiast tego zjawił się stary Mathias garncarz. Widząc, że jestem o wiele za młody, żeby biegać samopas, wziął mnie na ucznia. Mam wobec Mathiasa ogromny dług. Gdyby nie on, nigdy bym pewnie nie poznał tej wielkiej radości, jaką może dać człowiekowi odpowiednio dobrane szkliwo na delikatnej glince, tej satysfakcji z wytoczenia pięknej formy na dobrze znanym kole, przyjemnego ciepła warsztatu, ogrzanego piecem do wypalania gliny. Lecz dawno już minął czas, kiedy można było pospłacać długi, a moje żale pozostały we mnie jak wyszczerbione skorupy.

Przyjacielu, okazałeś mi życzliwość, choć jestem tu obcy. Imię moje Kirth, a urodziłem się na północy, w mieście Handred, nad potężną rzeką Umbya. W dole rzeki, o dziesięć mil od miasta, stoi ogromna budowla, Świątynia Handredu. Na Federa, wolej nigdy by jej nie zbudowano, bo stała się przyczyną wielkiego smutku.

Ten oto nędzny tobolek, ten przeklęty artefakt ze świątyni, jest powodem, dla którego podjąłem swoją podróż. Jest to księga pomniejszego bóstwa Makny, który znany był starożytnym jako McKenna. Poprzysiągłem, że oddam ją w ręce Najwyższego Pułkownika Pardoxy, ziemi leżącej nieco na południe stąd, a zwanej Uth, jeżeli ktoś jeszcze pozostał przy życiu w tym nieszczęsnym miejscu. Lecz nie udało mi się. Jestem człowiekiem, który ujrzał grzechy bogów i głupotę ludzi, jestem w rozpacz i boję się umrzeć.

Chociaż byłem ich bratem i chociaż je uwielbiałem, Arain i Mera łączyła więź, której nie dane mi było dostąpić. Były nieomal jedną osobą. Potrafiły rozmawiać ze sobą oczyma. Każda z nich mogła dokończyć na wpół wyrażoną myśl drugiej. Nie tylko wyglądały podobnie; myśli ich biegły tą samą drogą, po krainach, które reszcie z nas wydawały się bezdrożne. Mimo to wszyscy troje należeliśmy do siebie jak do nikogo innego, bo w żyłach naszych płynęła jedna krew. Moje serce zaczynało bić szybciej, kiedy w południe spotykaliśmy się na ulicy i wymienialiśmy serdeczne słowa powitania, a inni spoglądali na nas, pełni podziwu.

Nocami Arain i Mera wykradały się często ze szkoły i przez ciemne ulice biegły do drzwi warsztatu Mathiasa, gdzie ja i drugi jego uczeń, Taud, pilnowaliśmy przez całą noc ognia, śpiąc na siennikach przy starym piecu do wypalania gliny.

Arain przynosiła słodkie ciasteczka, wykradane ze szkolnej kuchni, Mera zaś przynosiła wino. Wciąż jeszcze pamiętam te czasy radosnych zabaw w wesołym towarzystwie, ciepły blask płomieni na palenisku i młodzieńcze twarze Arain i Mery.

Taud i ja byliśmy żądni wiedzy. Moje siostry czasem

przynosiły ze sobą książki i w ten sposób nauczyliśmy się czytać. Książki pobudzały naszą ciekawość i sprawiły, że zaczęliśmy zastanawiać się nad sprawami, które zdawały się nam dziwne; tajemniczymi i zagadkowymi sprawami świątyni, bogów i Handred. Mówienie o nich pociągało mnie, ale i przerażało, ponieważ czułem mgliscie, że jeśli ktoś nas usłyszy, zostaniemy ukarani. Może bałem się zemsty Makny. A powinienem był raczej obawiać się Radny.

Siostry moje urodziły się w dobrym zdrowiu i wielką znajdowały radość we wszystkim, co cielesne. Uwielbiały dobre jedzenie i cudowne zamroczenie od nadmiaru wina; celowały w sportach, polowaniu, grach wojennych i ćwiczeniach na wytrzymałość. Wydało mi się więc zupełnie naturalne, że, wróciwszy wcześniej pewnego wieczoru z glinianki, zastałem je wyciągnięte przy ogniu z Taudem, który był o kilka lat starszy ode mnie. Dorastałem właśnie i czułem już popędy, które przyprawiały mnie o wielkie pomieszanie, zazdrościłem więc Taudowi. Lecz że nie przystoi bratu mówić o takich pragnieniach, usuwałem się na bok, żeby im rzecz ułatwić.

Pewnej nocy siostry moje przybyły do drzwi warsztatu z książkami i winem. Od jakiegoś już czasu rozpoczynałem nasze wieczory wyjściem po drewno na opał. Zwlekałem zwykle, rąbiąc znacznie więcej drewna niż było potrzeba, by miały czas sam na sam z Taudem. Lecz tej nocy było bardzo zimno, a ja nie wziąłem okrycia, skończyłem więc prędzej niż zwykle. Otwierając drzwi zaskoczyłem ich.

Moje siostry stały przy ogniu, twarzami zwrócone ku sobie, Mera na wpół rozebrana, Arain zaś tylko obuta. Taud stał w kącie przy swoim sienniku, nagi do pasa i zarumieniony.

- Chcę go jeszcze raz - powiedziała Arain cichym i przerażającym głosem. - To niesprawiedliwie. Tobie dał nasienie dwa razy.

- Uspokój się, Arain - powiedziała Mera miękko, spoglądając w moim kierunku. - Kirth już wrócił. To bez znaczenia.

Ale Arain dalej stała z rękami wspartymi o boki i ciałem napiętym jak cięciwa łuku. Widziałem, że z trudem powstrzymuje się, by nie uderzyć Mery.

- Ale ja chcę... chcę... - krzyknęła Arain głosem tak pełnym bólu, że zdawał się nie należeć do niej.

- Ale ty chcesz dziecka, Arain? Ty i ja jesteśmy bezpłodne - odrzekła cicho Mera.

Nie sądzę, żeby gniew Arain skierowany był przeciw Merze; raczej przeciw temu, o czym mówiła Mera. Arain zaślepiała namiętność, której nigdy nie zrozumie do końca. Podniosła rękę, lecz Mera przytrzymała ją za przegub. Były godnymi siebie przeciwniczkami.

- Tak! Chcę dziecka. Jak możesz mówić, że to bez

znaczenia? Jak mogę żyć ze świadomością, że żaden mężczyzna nie może dać mi dziecka? - Po czym gniew ją opuścił, a gdy opadła kolanami na klepisko podłogi, po jej policzkach płynęły łzy.

Łkała cicho, a Mera obejmowała ją długo, głaszcząc piękne, białe włosy. Jej policzki także błyszczały od łez.

Byłem zbyt młody, by wiele zrozumieć z tego, co ujrzałem. Wiedziałem, że żywe i zdrowe niemowlęta są skarbem i błogosławieństwem od bogów. Lecz nie rozumiałem żalu Arain. A ponieważ tak wiele z naszych kobiet było bezpłodnych, nie wiedziałem również, że bezpłodność jest nienaturalna, co czyniło rzecz całą jeszcze bardziej przerażającą.

Przyjacielu, opowiem ci o tej obcej i dalekiej ziemi, gdzie stałem się mężczyzną. Lud mój zamieszkiwał nad brzegami Umby od przeszło tysiąca lat. Mieszkaliśmy tam, zanim jeszcze zaczęła się Wojna Czterech Miast, w której Makna wziął naszą stronę i, wstrząsnąwszy górami, spowodował, że rzeka zmieniła swój bieg, płynąc bliżej jego świątyni. Od tego czasu rzeka powyżej świątyni była szeroka i błękitna, a jej rozlewiska bujne i urodzajne. Lecz poniżej świątyni rzeka ta nosi nazwę Dred. U zlewu Dredu i Seneku stały niegdyś trzy potężne miasta. Dawno już obróciły się w ruinę, jako że przodkowie nasi, którzy żyli w nich przedtem, zbiegli w górę Seneku, do Nupasku. Gdyż od czasu Wojny Czterech Miast Dred stał się rzeką trucizny, a jego brzegi i rozlewiska - pustynią. Nic nie jest w stanie przetrwać tam dłużej.

Nadszedł taki dzień, kiedy kopiąc w gliniance, którą przetrząsaliśmy w poszukiwaniu odpowiedniej gliny, podniosłem wzrok i ujrzałem, że stoi nade mną Mera. Wtedy właśnie po raz pierwszy zobaczyłem jedną z moich sióstr bez drugiej.

- Kirth, możesz pójść ze mną na chwilę? Musimy się przejść - powiedziała.

Kiedy spojrzałem na nią, strach odarł mnie z sił. Glinianka leży kilka mil za miastem, a Mera nie miała na sobie kapelusza; nic nie chroniło jej przed południowym słońcem. Włosy jej potargane były od wiatru; pewnie nawet biegła. Jej twarz i ręce spiekły się na ognisty róż, a blade oczy nabiegły krwią.

Wstałem drżąc z obawy. Jakiż obcy i wrogi wydał mi się wtedy świat.

- Gdzie jest Arain? - spytałem.

Mera skrzywiła się lekko, jakby ją coś zabolalo.

- Arain odchodzi. Pomyślałam, że chciałbyś się z nią pożegnać.

- Odchodzi?

- Dzisiaj przybyła Jana. Arain wstępuje do świątyni. -

Mera wzięła mnie za rękę. - Nie powinniśmy się ociągać, bo możemy nie zdążyć.

Zaczęliśmy wspinać się po jednej z drewnianych drabin, które stały wzdłuż krawędzi wykopu. Mera szła przodem, po omacku wyszukując kolejne szczeble i często się ześlizgując. Tak długo przebywała na otwartym słońcu, że niemal oślepla.

- Co się stało z twoim kapeluszem? - zapytałem.

- Gdzieś go zgubiłam - odrzekła.

Wątpiłem w prawdziwość jej słów. Pewien byłem, że zapomniała go włożyć. W sercu uczułem śmiertelny chłód, głęboki jak zimowe śniegi. Mera także go czuła; czuła go tak mocno, że odwrócił jej myśl od przyzwyczajenia, któremu była posłuszna przez całe swoje życie - od kapelusza, niezbędnego do przetrwania dla kogoś o tak bezbarwnej skórze. Nasza siostra Arain zostanie wyniesiona. Ludzie w Handred będą kłaniać się jej nisko na ulicach. Ale kiedy już ich minie, będą szeptać przesłoniwszy usta dłonią. Gdyż służba Federowi zawsze przynosiła przedwczesną śmierć. Arain nie wolno iść do świątyni. Samo słońce wykrzyczało to ze spokojnego, błękitnego nieba.

- Dlaczego tam idzie? I na jak długo? - zapytałem, kiedy doszliśmy do szczytu. Ruszyliśmy drogą, a Mera wspierała się na moim ramieniu.

- To zaszczyt, Kirth. Arain żadna jest wiedzy, żadna sekretów świątyni. I to właśnie obiecała jej Jana.

- Ale... to nie w porządku. Nie powinnyście się rozdzielać. - Uchwyciłem się tej myśli jak tonące stworzenie odłamanej gałęzi.

- Nie jesteśmy jedną osobą. Chcemy czego innego - powiedziała Mera, lecz głos jej drżał i nie patrzyła na mnie.

- Ale ona umrze! - wykrzyknąłem.

- Uspokój się, Kirth. Dlaczego mówisz takie rzeczy? - szepnęła. Lecz mimo że mnie upominała, ręka na moim ramieniu zacisnęła się mocniej.

- Boję się - odparłem.

- Tak. Ja chyba też - rzekła Mera.

Przyjacielu mój, choć Handred był dziwnym miejscem, na swój sposób nie różniliśmy się zbyt od innych ludów. Zimą, kiedy wiał ostry wiatr, zbieraliśmy się wokół ognia tak jak mają to w zwyczaju inni. Przy ogniu opowiadano wiele baśni.

Mówiono, że Świątynia w Handred była dziełem rąk Makny. Powiadano, że wznosił ją u mglistych początków świata, przed Wielką Suszą, jako pomnik dla Jedynego Boga Federa, a także jako więzienie dla swego śmiertelnego wroga, Radny. Świątyni tej nie mógłby wznieść żaden śmiertelnik. Ściany jej złożone zostały z wielkich płyt gładkiego kamienia, które pochodzą z nieznanym nam kamieniołomów. A pod jej wierzchnią konstrukcją wykopano podziemia o

niepojętym wprost ogromie.

Zanim odnaleźliśmy Księgę, wierzyłem w te baśnie tak jak wszyscy inni. Lecz tak naprawdę świątyni nie zbudowano na więzienie. Wielu spraw tego świata nie pojmuję, ale wiem, co to znaczy służyć. Czasem myślę sobie, że Wielki Makna był w rzeczywistości sługą Radny, że zbudował świątynię, ponieważ zażądał tego Radna.

Mera chorowała wiele tygodni po tym, jak Arain odeszła do świątyni. Pozwolili mi się z nią widywać tylko dlatego, że często mnie wzywała. Stary Mathias okazał mi dużo zrozumienia, kiedy pozostawiałem nie dokończoną pracę.

Twarz Mery i wierzchy jej dłoni były okrutnie poparzone i pokryte bąblami. Przez długi czas obawiano się, że straci wzrok. Chwyła ją potężna gorączka i nie mogła jeść. Lecz o wiele gorsza choroba gnieździła się w jej sercu, choć nie wspomniała o niej ani słowem. Nie wzywała Arain, dopóki nie opadły jej majaki. Wtedy, nieprzytomna, wciąż wykrzykiwała imię swej siostry. Bałem się, że umrze. Cierpiałem widząc, jak tracę najbliższe mi istoty. Tak więc po jakimś czasie zebrałem się na odwagę i poszedłem do Świątyni Handredu, żeby odszukać Arain.

Z powodu letniego gorąca szedłem bardzo długo. Mimo że droga wiodła wzdłuż zielonych brzegów Umby, byłem zmęczony i mokry od potu, kiedy stanąłem w końcu przed ciemnymi, drewnianymi wrotami świątyni. Nigdy wcześniej nie byłem tutaj i nie miałem pojęcia, w jaki sposób mogę dostać się do środka. Było to przerażające miejsce, martwe miejsce, niesamowite i obce. Nie rosły tu drzewa ani trawa; tylko naga ziemia i czarne skały, pośród których wznosiły się posępne, pozbawione okien budowle, jak pradawne, szare potwory.

Nie mogłem znaleźć kołatki ani łańcucha od dzwonka, a moje pięści dawały odgłos cichy jak ćmy tłukące się o grube drewno wrót. Lecz byłem młody i nie sprawiło mi wielkiego kłopotu wspięcie się na ceglany mur i opuszczenie do środka, na rozległy dziedziniec. Dokładnie naprzeciw mnie stał gładki, szary budynek, o płaskim dachu i strzelistych drzwiach z zielonej, porowatej miedzi. Na drzwiach wryty był jakiś napis, lecz nie potrafiłem go odczytać. Nie rozumiałem sensu tych znaków, choć wydawały mi się dzwinnie znajome. Znajdowały się tu dłużej niż śmiałybym zgadywać. Być może wyciął je sam Makna.

I znowu nie znalazłem kołatki, lecz tym razem zupełnie nie wiedziałem, co mam teraz robić. Dziedziniec był pusty.

Niespodziewanie zza pleców dobiegł mnie czyjś głos.

- Czego chcesz, chłopcze?

Zaskoczony obejrzałem się i ujrzałem wymizerowanego, bladego mężczyznę. Miał rzadkie i potargane włosy, a jego ciemne oczy pokrywała mleczna błona jak ochronna powieka u

jastrzębia. Omal nie krzyknąłem z przestachu.

- Muszę zobaczyć się z Arain - odparłem, kiedy wziąłem się w garść.

- Jesteś jej bratem, co? - powiedział obcy.

- Skąd wiesz?

- Łatwo się domyślić, chłopcze. Trochę mi o sobie opowiadała. I o tobie też. Kirth, prawda? - Uśmiechnął się szeroko. W jego krwawiących i opuchniętych dziąsłach tkwiły odbarwione zęby jak nagrobki.

Był tak odrażający, że nagle opanował mnie nieuzasadniony lęk o Arain.

- Co jej zrobiłeś? Chcę ją zobaczyć! - krzyknąłem.

- Taki sam jak ona, prawda? - wymamrotał spluwając w kurz czerwonawą śliną. - Ty się nic nie martw. Przyprowadzę ci ją. - Podążył schodami w górę, pchnął drzwi i zniknął za nimi, mamrocząc nieprzerwanie.

Nigdy jeszcze minuty nie biegły mi tak wolno jak wtedy, gdy stałem w letnim słońcu i czekałem, aż drzwi do Świątyni Handredu na powrót się otworzą. Gdybym nie był człowiekiem, a zwierzęciem, bez wątpienia, posłuszny instynktom, opuściłbym to miejsce od razu, tak jak to zrobiły ptaki. A tak trząsałem się tylko i siłą zmuszałem do pozostania.

Na koniec drzwi otwały się i z ciemności wyszła Arain. Odziana była w długą, czarną sutannę Służby, na której tle jej twarz, włosy i ręce świeciły jak księżyc.

- Kirth, po co tu przyszedłeś? - zapytała od razu.

Otwarłem usta, by coś powiedzieć, lecz nie potrafiłem znaleźć słów. Ulga, że widzę ją całą i zdrową w tym okropnym miejscu, uczyniła ze mnie kompletnego głupca, stałem więc oniemiały, usiłując wydobyć z siebie jakiś dźwięk.

- Stało się coś, Kirth? Drzysz cały - powiedziała Arain i zwinnie zbiegła po schodach, by ogarnąć mnie ramionami w znanym geście, w którym zawsze odnajdowałem ogromną pociechę. Przytuliłem policzek do szorstkiej, ciepłej materii jej sutanny, moje uszy wypełniło mocne i pewne bicie jej serca i znowu poczułem odwagę.

- Kim jest ten człowiek? - zapytałem.

- Przestraszył cię? To tylko biedny Geoff, szaleniec. Nie chciał ci zrobić nic złego. Ale powiedz, po co przyszedłeś.

- Mera... Mera cię wzywa.

Z początku Arain nie odpowiedziała. Spojrzała tylko w ziemię, a ja nie mogłem dojrzeć jej twarzy. Kiedy przemówiła, słowa jej popłynęły wolno.

- Mera wie, że nie mogę przyjść. To... to nie w porządku, że przyczynia nam smutku.

- Ależ ona jest chora. Nie wie nawet, że wymawia twoje imię. Nie przysłała mnie. Przyszedłem, bo sam chciałem.

Poczułem, jak pod czarną tuniką jej serce zaczyna bić szybciej. Jakże okropne musiały być dla niej moje słowa; Arain i Mera zawsze dzieliły każdą przyjemność i każdy ból.

Już samo to, że potrzeba było posłańca w sprawie takiej wagi, było okrutnym dowodem na to, jak bardzo się od siebie oddaliły.

- Zachorowała od słońca. Kiedy przyszła po mnie... żebyś się z tobą pożegnał. Zapomniała kapelusza. Oślepla i czasem mnie nie rozpoznaje. Boję się - mówiłem dalej.

Kiedy słuchała, niewielkie bruzdki na jej twarzy stawały się coraz głębsze. Chwyciła mnie za ramiona i spojrzała w oczy błagalnie.

- Kirth, musisz zrobić tak, jak ci powiem. Nowicjuszkom nie wolno opuszczać terenu świątyni. Zatrzymają mnie, jeśli tylko dowiedzą się, że chcę wyjść. Ale jeżeli poczekam do nocy, mogę przemknąć się w cieniu i nikt nie będzie wiedział. Musimy spotkać się gdzieś po zmroku.

- Ale gdzie? A co, jeśli cię złapią?

- Jana nie jest życzliwą kobietą. Gdybym była którąś z innych nowicjuszek, zesłano by mnie w podziemia bez komży. Ale ja jestem silniejsza niż Jana, a moje dobro interesuje wielu. Nie boję się jej.

Nawet w tej chwili jej słowa napęniają mnie miłością i podziwem. Wiedziała dobrze, czym ryzykuje dla Mery. I ja wiedziałem. Ciała tych, których zesłano w podziemia bez ochrony, przywiązywano często do pala i obwożono po Handred. Ci nieszczęśnicy, którzy stanąć musieli przed Radną bez komży, ukazywali się nam sztywni i powykęceni jakby spazmem nieznośnego przerażenia, wysmarowani własnymi ekskrementami. Nie było śmierci bardziej przerażającej.

- Musisz szybko stąd odejść i zrobić to, co ci każe - powiedziała Arain. - Idź z powrotem w kierunku Handred. Kiedy nad rzeką znów ujrzysz wysokie drzewa i trawy, zatrzymaj się, wykąp i upierz swoje rzeczy.

- Dlaczego?

- Obiecaj, że tak zrobisz. Potem ukryj się w wierzbach przy drodze i czekaj na mnie. Przyjdę. Daję ci na to moje słowo. Teraz biegnij. Biegnij tak szybko, jak potrafisz.

Strach przed świątynią i radość z wydostania się spod jej władzy sprawiły, że nogi moje stały się zwinne i szybkie. Czułem się szczęśliwy, uciekając z gorącymi podmuchami wiatru na twarzy. Kiedy tylko dotarłem do miejsca, gdzie brzegi Umbyi stawały się zielone i ciężkie od wierzb, rozebrałem się i pływałem w zimnej wodzie, potem przepłukałem swoje postrzępione ubranie i porozkładałem je na płaskich skałach, by wyschło, rozpamiętując przy tym owe dziwne polecenia. Długo po zmroku, kiedy do śpiewu potężnej rzeki dołączyły żaby i świerszcze, od strony świątyni nadeszła Arain.

Tej nocy, gdy szliśmy drogą do Handred, zadałem jej wiele pytań. Nie dbałem o kamienie pod stopami ani o długą drogę. Tylko o odpowiedzi Arain, które wiodły mnie jedynie do kolejnych pytań.

Zapytałem ją, dlaczego kazała mi obmyć się w rzece.

- Ziemia wokół świątyni jest zatruta tak jak Dred -
odparła. - Uważa się, że tę truciznę można zmyć.

- Czy ty też obmyłaś się w rzece dziś w nocy? - spytałem.

- Często myję się w miejscu, gdzie Zimny Potok spływa ze
wzgórz. Nie martw się, braciszku.

Ale ja się martwiłem. Jeśli świątynia jest tak plugawym i
zatrutym miejscem, jakim się wydaje, pytałem ją, to dlaczego
wstąpiła do Służby? Jaki zaszczyt wart był tak straszliwej
ceny?

- Przy blasku wiecznego ognia mówiliśmy o pewnych
zagadkach. Dla dobra nas wszystkich chcę znaleźć odpowiedzi.

- Głos jej przycichł i szliśmy dalej przy świetle gwiazd.

- Zagadka Makny i świątyni? - zapytałem.

- Zagadki na temat początku rzeczy. Na temat obecnego
stanu rzeczy. Mera i ja wierzymy, że świat nie jest taki,
jak zamierzył Feder. Coś złego dzieje się na naszej ziemi.

Czułem wielkie pomieszanie. - Dlaczego myślisz, że dzieje
się coś złego?

- Przypominasz sobie może historię o tym, jak dawno temu,
kiedy Mera i ja byliśmy małe, podsłuchiwaaliśmy pijanego
podróżnego w gospodzie. Przybył z jakiejś odległej krainy.
Nigdy przedtem nie był w Handred. Zadał pytanie. Czy
pamiętasz jakie?

Uśmiechała się, kiedy to mówiła. Światło gwiazd zrobiło
coś z jej oczyma, odmieniło je z bladej lawendy w twardą
platynę. Stwardniały i ochłodziły, a ja zadrzałem, kolejny już
raz tego dnia. Co pomyślałby obcy o mojej siostrze? Czy
stwierdziłby, że jest piękna, czy także by zadrzał?

- Zapytał czymże to obrazili bogów ludzie z Handred -
odrzekłem jak ktoś, kto recytuje wyuczoną lekcję.

Mówiąc dalej Arain spoglądała w dół, na drogę. - Tak.
Powiedział, że nigdy jeszcze nie widział miejsca, gdzie
panowałyby tyle chorób. Nigdy nie słyszał o żadnym innym
miejscu, gdzie rzeka płynęłaby trucizną jak Dred. Nigdy nie
widział miasta, w którym byłoby tak mało dzieci. A kiedy
wypatrzył w kącie mnie i Merę, powiedział, że nigdy jeszcze
nie widział tylu potworów.

- Ależ nigdy mi o tym nie mówiłaś! - wykrzyknąłem, choć w
środku przytałem wielką pustkę poczucia winy. Pokryłem ją
oburzeniem. - Jak mógł powiedzieć coś takiego? Jesteście
piękne! Byłyście podarkiem od Federa!

Arain zaśmiała się bez radości. - Może dla ciebie i
innych bywalców gospody. Pobili nieszczęsnego człowieka i
wyrzucili go na ulicę. Niemniej słowa jego niosły w sobie
prawdę.

- Ale ty i Mera nie jesteście potworami!

- Różnimy się od innych. W ten sposób rzeczywiście
jesteśmy potworami. Za bardzo jesteś przyzwyczajony do
naszego wyglądu, Kirth. A poza tym obcy miał rację. Kobiety

w Handred rodzą stworzenia, których nie sposób prawie nazwać istotami ludzkimi. Zbyt wiele takich stworzeń. Każdy podróżny to zauważa.

- Ale jakie to ma znaczenie?

- Zastanawiam się. Chcemy wiedzieć, jakie to ma znaczenie. Chcemy wiedzieć, co zatrulo rzekę. Chcemy wiedzieć, co zabiło tamte trzy miasta, co jest ukryte pod naszą świątynią, czego właściwie Makna kazał nam strzec po wsze czasy. Wierzimy, że odpowiedź na jedno najważniejsze pytanie rozjaśni nam i wszystkie inne. Chcemy wiedzieć, czym jest Radna, Kirth. Tylko tajemna wiedza w Służbie Federa może dostarczyć nam odpowiedzi. Jedna z nas musiała iść.

Rzecz nie była tak prosta, jak ją przedstawiła Mera. Nie były dwiema osobami, które pragną czego innego. Nigdy nie miałem się dowiedzieć, w jaki sposób zdecydowały: ciągnąc słomki, czy wróżąc z liścia, czy może w jakiejś grze wojennej, w której każda z nich walczyła o życie drugiej. Kto tu odróżni zwycięzcę od pokonanego?

Potem zdawało mi się, że wielkie koło świata załamało się w środku. Gwiazdy nad moją głową tańczyły w chaosie, choć błagałem je o porządek, i znów przesunęło się nade mną mroczne przeczucie. W uszach dzwoniło mi od krwi bijącej z rozgorączkowanego serca, bo teraz już wiedziałem, tak jak moje siostry, że jeżeli nie nastąpi jakiś cud, Arain umrze podczas poszukiwań. Żadna z istot ludzkich nie miała dość siły, by sięgnąć w głąb sekretów Radny i nie postradać przy tym życia. Wiedziały o tym nawet małe dzieci z Handred.

Później, kiedy siedzieliśmy już przy blasku świecy u łóżka Mery, patrzyłem, jak Arain tuli ją do siebie, a jedwabiste włosy mieszają się z jedwabistymi włosami, blada skóra przytula do bladej skóry, jak gdyby te dwie kobiety były jedną. I przyszło mi do głowy, że jeśli któraś z moich sióstr umrze, druga pójdzie niebawem w jej ślady. Wyobraziwszy sobie pustkę świata bez nich, zwarłem się w sobie. Poprzysiągłem, że umrę wraz z nimi, jeżeliby sprawy miały zajść aż tak daleko.

Przyjacielu mój, nawet Wielki Feder nie przewidział Suszy i upadku cywilizacji starożytnych. Makna uczynił wszystko, by zachowano straż przy świątyni, lecz następcy starożytnych byli dzikusami w krainie głodu. Nawet moc bogów ma swoje granice.

Makna napisał, że Radna jest największą siłą, jaką kiedykolwiek znał świat, dla której nie ma przeszkód, której najłżejszy szept na równi zabija ludzi, zwierzęta i roślinność, której dotknięcia przenosi wiatr i deszcz, a od której nie ma ucieczki.

Po tym, jak Arain siedziała przy niej owej nocy, Mera szybko przyszła do siebie. Wkrótce też wystąpiła o przyznanie jej

wyższej rangi i została oficerem armii Handredu. Stary wróg, słońce, mogło uniemożliwić jej sukcesy w tym zawodzie. Lecz zaprojektowałem dla niej i zrobiłem z kolorowego szkła przyrząd do ochrony oczu. Oboje sporządziliśmy też w tajemnicy maść, mieszając ze sobą białą glinę i tłuszcz z wełny owczej. Tym właśnie smarowała twarz i ręce, by chronić je przed wrażliwym światłem dnia. Tak wprawny był z niej wojownik i przedstawiała sobą na polu bitwy obraz tak przerażający, że z wielką szybkością zaliczała kolejne stopnie, aż wkrótce została generałem armii Handredu. Tak bardzo kochali ją żołnierze i tak świetnie walczyli u jej boku, że w krótkim czasie Nupaskanie zmuszeni zostali do powrotu na swoje własne ziemie. Mera nigdy nie zapomniała, że to Nupaskanie uczynili z niej sierotę.

Arain dążyła do swego celu w sposób mniej głośny, lecz z równym powodzeniem. Miała rację, kiedy mówiła o Janie. Jana nie była nigdy w stanie ukarać jej należycie za przeróżne wybryki, a Arain zyskała przyjaźni wśród innych członków Służby. Kiedy Jana zmarła na długą, powolną chorobę, która w końcu zawsze zabierała Najwyższych Pułkowników, Arain została Najwyższym Pułkownikiem Służby Federowi. Było to w sześć lat po wstąpieniu do świątyni.

W niedługi czas po tym opuściłem warsztat Mathiasa i otworzyłem swój własny. Mathias zaszczerpił mi tak wielkie umiłowanie dla tego rzemiosła, tak dobrze wyuczył mnie magii gliny i ognia, że wkrótce zostałem najlepiej prosperującym garncarzem w Handred. Bogaci, pobożni i ci o wielkich nazwiskach składali u mnie specjalne zamówienia na piękne wyroby. Wkrótce niektóre glinki i glazury zaczęto zwać od mojego imienia, gdyż tylko ja znałem ich sekret. Dość prędko przyjąłem własnych uczniów.

Kiedy tylko udało nam się znaleźć kilka wolnych godzin, moje siostry i ja zbieraliśmy się wokół ognia, tak jak zwykliśmy czynić dawniej, by czerpać radość z wina, dobrego jedzenia i swobodnych rozmów. Często spotykaliśmy się w oświetlonej blaskiem płomieni komnacie w ogromnej kwaterze Mery lub też w moim warsztacie, tak jak niegdyś w starym.

Lecz teraz już tylko Mera uwodziła czeladników. Arain wychodziła wtedy ze mną po drewno na opał. Raz zapytałem ją o powód, gdyż ta i kilka innych zmian przyprawiły mnie o niepokój.

Podczas gdy ja układałem na jej rękach stos porąbanego drewna, ona odpowiedziała: - Już nie mam na to ochoty.

- Zastanawiam się, czy z tobą wszystko w porządku - powiedziałem. Jej skóra zawsze była bardzo biała, lecz teraz zniknęły i rumieńce na policzkach, a oczy zaszyły mgłą, podobnie jak oczy starego psa. Łatwo się męczyła, często też kładła się i zasypiała, podczas gdy ja i Mera ciągle jeszcze rozmawialiśmy i śmialiśmy się.

- Czuję się dość dobrze - odrzekła.

- Czy nadal kąpiesz się często w wodzie z Chłodnego Potoku? - spytałem.

Uśmiechnęła się tylko i powiedziała: - Nic się nie martw, braciszku.

Któregoś popołudnia, kiedy Arain i ja przybyliśmy do kwatery Mery, obładowani serem, słodkim winem i chlebem, znaleźliśmy ją siedzącą samotnie w kuchni przed dogasającym ogniem. Nigdzie nie widać było jej zwykłej świty posługaczy i ulubionych oficerów. Mera zapadła się w twarde krzesło, buty miała zdjęte, poły koszuli wyciągnięte na wierzch, w ręce pustą butelkę po winie; puchar leżał obok na podłodze.

Nie powitała nas, kiedy składaliśmy na ziemi nasze pakunki. Była późna jesień i pokój wychłódł tak, że nasze oddechy białymi pióropuszcami zawisały w powietrzu. Mera zdawała się tego nie zauważać. Od razu wziąłem się do rozpalania ognia.

Z białej maści na twarzy Mery można było wyczytać całą historię. Nosiła ślady zapyłonej drogi, potu i łez. Lecz nie słyszeliśmy, by owego dnia miały miejsce jakieś napady czy walki, nie dostrzegaliśmy też, by odniosła jakieś rany.

- Przynieśliście jeszcze wina - powiedziała. - Otworzymy butelkę? - Głos jej brzmiał trzeźwo. Ktoś obcy z trudem domyśliłby się, że jest już bardzo pijana.

Arain otworzyła jedną z butelek. Po chwili trzaskał już ogień i wszyscy troje trzymaliśmy napełnione puchary.

Potem Arain zapytała: - Co się stało, Mero?

Mera zaśmiała się głośno. Szorstki, gorzki ton jej głosu przywiódł mi na myśl padlinożerne ptaki i przestraszyłem się.

- Miesiąc temu posłałam mego przyjaciela, Halda, na czele niewielkiego patrolu w dół rzeki Dred. To było bardzo samolubne z mojej strony. Nie powinnam była tego robić. Ale on mówił, że chce pójść. - Znow się zaśmiała śmiechem, który balansuje na krawędzi płaczu, i dodała: - Oni zawsze chcą iść.

Pociągnęła wielki łyk wina. - Krążyła plotka, że Nupaskanie odkryli sposób, żeby uchronić się przed trucizną. Podejrzewałam, że banda najeźdźców obozuje nad Dredem poniżej świątyni i że planują napaść na nią z zaskoczenia.

Pochyliła się w przód, zaciskając ręce na poręczach krzesła.

- Hald wrócił dziś z raportem. Siedziałam przy nim, kiedy umierał, trzy godziny temu. Pojechał aż do Trzech Miast i z powrotem w poszukiwaniu Nupaskan, którzy istnieli tylko w mojej wyobraźni.

Z początku Arain i ja nie odezwaliliśmy się. Nawet starcy przy ogniu nie opowiadali jeszcze o nikim, kto wyruszyłby do Trzech Miast i powrócił żywy.

- Przykro mi - powiedziała Arain.

- Ale przecież musiał wiedzieć, co się stanie - rzekłem.

- Dlaczego pojechał o tyle dalej niż musiał?

Mera uśmiechnęła się gorzko.

- Myślał, że znalazł sposób, żeby ochronić siebie i swoich ludzi. Taki jego tajny wynalazek. Rodzaj ubioru. Jak komża Arain. Powinien był posłuchać mojej rady i porozmawiać najpierw z tobą.

Ale Arain potrząsnęła głową.

- Jesteś zbyt surowa dla siebie. Jeżeli chciał podjąć to ryzyko, dlaczego ktokolwiek miałby go zatrzymywać? Poza tym potrzebujemy wiedzy o miastach. Powiedz mi, czy znalazł coś?

- Oczy Arain błysnęły pożądliwie w czerwonym blasku płomieni, a mój strach rozrastał się na kształt ognia. Cichy głos w środku zapytał, kim może być ta kobieta pozbawiona uczuć. Z pewnością nie tą, która ryzykowała życiem, żeby przybyć do łóżka chorej siostry.

Mera patrzyła na nią w milczeniu bardziej głębokim i przesywającym niż jakiegokolwiek słowa. Potem powiedziała wolno:

- Nie znalazł nic.

Arain odwróciła się i, nie podnosząc wzroku, powiedziała:

- Spróbuj wybaczyć mi moją zachłanność. Pożadam tej wiedzy dla dobra nas wszystkich. To silniejsze ode mnie. Odpowiedź jest już tak blisko.

Mera nie odpowiedziała, a słowa Arain popłynęły dalej niczym wezbrana deszczem fala powodzi.

- Hald był silny i mocny miał charakter. Nikt nie mógłby go powstrzymać. Cóż mogłam mu powiedzieć? Najwyżej to, że komża Makny nie działa. A jakie to mogło mieć dla niego znaczenie, jeżeli miał inną, którą wymyślił sobie sam?

Gdyby Mera nie była tak pijana, pewien jestem, że nie wyrzekłaby słów, jakie wtedy padły.

- Mogłyśmy powiedzieć mu o Księdze Makny, Arain. Nie musiał umrzeć.

Od tej chwili, wbrew własnej woli, stałem się powiernikiem przerażających sekretów. Gdybym tylko mógł zetrzeć je z własnej pamięci tak, jak ścieram skazy z nowo utoczonego dzbana. Ale umysł ludzki nie dość przypomina glinę.

Mówiono, że mając na sobie komżę Makny, można było poważnie się na spotkanie z trucizną Radny bezkarnie. Wiedziałem, że czasem Arain schodzi w podziemia, żeby wypełnić święte i tajemne obowiązki Najwyższego Pułkownika, a czasem, by zadośćuczynić swej żądzy wiedzy. W tych wilgotnych korytarzach pomiędzy nią a śmiercią znajdowała się tylko komża Makny. Ale Radna był mocny, a komża bardzo stara. Teraz potwierdzały się moje najgorsze obawy. Arain umiera. Ale co z tą Księżą, o której mówiła Mera? Jeżeli mogłaby uratować Halda, to czy nie mogła uratować i Arain?

- Księża Makny? Co to jest? - Moje słowa wbiły się głęboko w ciszę, jaka zapadła w komnacie.

Arain stała przy ogniu, opuściwszy głowę i zamknięwszy

oczy, jakby chciała w ten sposób ukryć jakąś część świata.

- Za mało jeszcze wiemy o Księdze, by o niej mówić.

Lecz Mera, grubiańska od nadmiaru alkoholu, warknęła: - Mylisz się, siostrze. Mylisz się.

- Proszę cię, Mero. Niczego jeszcze nie jesteśmy pewne.

Mera podniosła się z krzesła i chwiejnie stanęła obok.

- Nie jestem boginią, Arain. Jestem kobietą na czele armii śmiertelników, którzy krwawią i umierają. Nasi wrogowie pięciokrotnie przewyższają nas liczbą. Będziesz czekać, aż Nupaskanie zetrą świątynię z powierzchni ziemi, chcąc wyrwać nam jakąś nie istniejącą wiedzę? Będziesz czekać, aż wypuszczą na nasze ziemie Radnę i wszyscy ludzie znad rzeki umrą i zgniją?

- Dlaczegoż Nupaskanie mieliby obawiać się opowieści z jakiejś starej księgi, wyjawionych im przez najwyższą kapłankę ze świątyni wroga? To nie takie proste, jak sądzisz, Mero. Wino cię ogłupiło - powiedziała ostro Arain.

W pomieszczeniu przysłuchiwałem się tej wymianie gniewnych słów. Jakąż straszliwą prawdę zawierała Księga Makny? Wtedy nie potrafiłem jeszcze odgadnąć. Czymkolwiek by był ten sekret, moje siostry stały teraz nieruchomo po przeciwnych jego stronach, rozdzielone przez własne myśli jak nigdy dotąd.

W swym pijackim gniewie Mera jeszcze raz zaczęła dręczyć Arain.

- To wstyd, nieprawdaż, Pułkowniku, po tym wszystkim, co rzuciłaś na szalę. Wstyd przekonać się, że Makna był jedynie wasalem, a starożytni rasą głupców!

Żadna strzała nie mogła zranić Arain głębiej niż gorzkie słowa Mery. Widziałem, jak pięści jej zaciskają się, a żyły na karku nabrzmiwiają, ten jeden raz oładnęła nią pasja. Mera także musiała to widzieć, lecz była zbyt pijana, żeby się obronić. Arain uderzyła ją z całej siły w szczękę, ciosem od spodu, od którego głowa Mery odskoczyła w tył, a sama Mera padła na kamienną ścianę i legła nieruchomo na podłodze.

Arain wsparła się o stół. Ręce jej drżały. Twarz była biała jak wapno. Oddychała szybko, urywanie i rozkaszała się, zataczając przy tym z bólu. Potem, nie odezawszy się ani słowem i potykając się, opuściła komnatę. Usłyszałem tętent kopyt konia galopującego w kierunku świątyni.

Mera, kiedy ocknęła się następnego dnia rano, nie pamiętała co się wydarzyło. Ja natomiast pełen byłem mieszanych uczuć w stosunku do Arain. Rozumiałem jej gniew, wierzyłem nawet, że był uzasadniony. Jednak kiedy spojrzałem na Merę, na jej purpurową szczękę, spuchnięty język i policzek, poczułem gniew.

Kiedy jednak zdałem Merze sprawę z przebiegu nocnych wydarzeń, powiedziała, że powinienem zapomnieć o złości, bo jeżeli kiedykolwiek potrzeba nam było jedności, to właśnie

teraz. Gdyż to, co mówiła nam o Nupaskanach, było prawdą. Wyszkolili sobie armię o wiele liczniejszą niż nasza i planowali zniszczenie Świątyni Handredu.

- Ponieważ kocham Arain, pójdę na kompromis - rzekła Mera. - Zataję sekret Księgi przed wszystkimi oprócz ciebie, Kirth.

A potem, głosem stłumionym i niewyraźnym z powodu poniesionych obrażeń, odkryła przede mną opowieść o Księdze Makny.

Arain znalazła ją w jednym z pomniejszych zabudowań przyświątynnych, między straszącymi tam kadłubami prastarych maszyn. Drzwi do tego budynku opieczętował Makna, kiedy zmieniono już bieg rzeki; gdyby nie śmiałość Arain, mogło tak zostać na zawsze.

Nie jest to zwykła książka z papieru, gdyż inaczej ze starości rozpadłaby się w proch. Zrobiono ją z jakiegoś zdumiewającego metalu, który nie rdzewieje, wykutego misternie w cienkie płachty i grawerowanego nieznanym nam rylcem. Widnieją na nich dziwne słowa, pisane w języku starożytnych. Lecz dziwniejsza jeszcze jest historia, którą opowiadają, splątana i pełna imion, które nic już dla nas nie znaczą.

Moje siostry nie skończyły jeszcze pracy nad rozszyfrowywaniem Księgi. Przekład był bardzo żmudny, niektóre ze stron zniszczone, a niektórych w ogóle brakowało. Lecz kilka spraw można już było zrozumieć. Mera miała rację, gdyby Hald wiedział o Księdze i jej przekazie, łatwiej byłoby odwieść go od pójścia w dół Dredu.

Owego ranka, kiedy już miałem ją opuścić, Mera wzięła mnie za rękę i powiedziała:

- To są mroczne myśli, Kirth, lecz ja nie potrafię lekceważyć ich tak, jak Arain. Jeżeli Handred nie będzie w stanie powstrzymać Nupaskan Radna zostanie wypuszczony na światło dzienne; i ja i Arain umrzemy w pierwszej kolejności bądź z ręki Nupaskan, bądź z ręki Radny. Jeżeli kiedykolwiek nas kochałeś, obiecaj mi coś.

- Co takiego? - zapytałem.

- Że nie pozwolisz, żeby sekret Księgi umarł wraz z nami.

Pomyślałem o przysiędze, jaką dawno temu złożyłem przed samym sobą, kiedy dowiedziałem się o niebezpiecznej drodze, jaką obrały moje siostry. Poprzysiągłem, że jeżeli umrą, pójdę w ich ślady. Złożyłem tę przysięgę w dobrej wierze, choć mogło być w tym i trochę egoizmu, i nie potrafiłem jeszcze się zmusić, by ją złamać. Odmówiłem zatem prośbie mojej siostry. Było to z mojej strony głupie i okrutne.

Przyjacielu mój, Wielki Makna rzekł, że Radna stworzony został przez starożytnych w Czasach Obfitości, przed Wielką Suszą. Dobrze znali grozę tej, którą tworzyli; wiedzieli, że nigdy nie będzie można jej zniszczyć. Feder rozkazał, by

wybudowano świątynię. Rozkazał, by Radnę podzielono na mniejsze części i uwieczono w kawałkach szkła, wlano do świętych naczyń i pogrzebano głęboko, w litej skale. Lecz kiedy nastąpiła Susza, Feder odszedł, pozostawiając jedynie swego sługę, Maknę. Makna pomógł nam zapamiętać, że po wsze czasy strzec musimy świątyni tak, by Radna nigdy nie mógł nas skrzywdzić.

Pisał Makna w języku nieśmiertelnych: "Boże, miej w opiece nasze dzieci, jeżeli urządzenia w Hanford i Dorzeczu Paradox kiedykolwiek zaczną niszczyć, bo, na każdą ludzką miarę, ten materiał do końca pozostanie zabójczy. A w tym czasie mogą już nawet nie pamiętać, co to jest".

W ciągu miesięcy, jakie nastąpiły potem, rzadko widywałem Arain i Merę. Arain zajęta była tłumaczeniem Księgi. Pracowała nad nią jak opętana, odkładając pracę tylko wtedy, gdy sprawy świątyni wymagały jej uwagi albo też kiedy czuła się tak źle, że mogła tylko spać. W tym czasie Mera i ja odwiedzaliśmy ją dwukrotnie w jej posępnej siedzibie w świątyni.

Nie zabawiliśmy długo, gdyż Arain z ogromną niechęcią porzucała pracę. Raz, niespodziewanie dla nas, wstała i poszła z nami do miedzianych drzwi świątyni, a potem na dziedziniec. Tam, w świetle słońca, dostrzegłem, jak bardzo zmieniła się Arain. Bez trudu można już było odróżnić od siebie moje siostry. Piękna twarz Arain była zniszczona i pełna zmarszczek, oczy jej niemal całkiem zmętniały. Szła jak stara, zmęczona życiem kobieta. Na dziedzińcu wyprostowała się i zapytała, czy uczynię jej zaszczyt, projektując dla niej pogrzebową urnę. Wtedy Mera odwróciła się i pochyliła głowę, żeby ukryć przed nami łzy.

Mera także pracowicie spędziła te kilka miesięcy. Na ziemiach leżących wzdłuż starego koryta Umbyi powtarzały się napady. Słyszeliśmy, że u Nupaskan doszedł do władzy nowy i wojowniczy przywódca, który wskrzesił dawną pieśń zemsty i który wykrzykiwał, że Handred musi zostać ukarane za zniszczenie prawowitej własności Nupaskan - ziem nad brzegami Dredu. Miało miejsce wiele potyczek, w których armia Handredu przegrywała. A potem, przy końcu lata, szpiedzy Mery przynieśli wiadomość, że Nupaskanie zgromadzili wszystkie siły na drugim brzegu Umbyi, przygotowując się do ataku na świątynię.

Nie wiem, co po tym zaszło między moimi siostrami. Być może Mera próbowała opowiedzieć Nupaskanom o Księdze; wiedziałem, że taki miała plan i że zamierzała go wykonać nawet gdyby musiała przeciwstawić się woli Arain. Lecz ostatecznie rację miała chyba Arain, bo Nupaskanie uderzyli.

W ciągu następnych dni między armią a miastem kursowali w obie strony posłańcy, a w tym czasie mieszkańcy robili, co mogli, by przygotować się do oblężenia, zbierając wszystko z

pól, wzmacniając wielki mur, który otaczał miasto, produkując strzały i włócznie i przygotowując wielkie kadzie z wrzącą oliwą, które miały być zrzucane na napastników.

Z początku posłańcy przybywali pełni radości; Mera zmusiła Nupaskan do odwrotu. Radowaliśmy się więc. Potem, drugiego dnia, posłaniec wrócił okrwawiony i bez tchu. Ponieśliśmy klęskę. Tej nocy siedziałem na murach, spoglądając na południowy wschód, gdzie błyskały pochodnie wojsk, a nad nimi zawisł głęboką czerwienią księżyc. I myślałem o moich siostrach, żałując, że pozostałem pomiędzy tymi, którym przyszło bronić miasta.

Na trzeci dzień przybył posłaniec z oczyma pełnymi zgrozy.

- Nupaskanie są już w świątyni! - wykrzyknął.

Na to serce zamarło mi w piersi, pobiegłem na szczyt murów, spodziewając się, że ujrzę obłoki kurzu wzniecone na drodze przez nadciągającą armię Nupaskan. Lecz zobaczyłem tylko, jak opada kurz wzniecony w czasie bitwy. W oddali galopował samotny jeździec, pędząc w stronę miasta. Nad naszą ziemią rozpostarła się złowieszcza cisza.

Po godzinie bramy miasta rozwarły się i jeździec wpadł do Handred.

Jego koń był na wpół oszalały, pysk plamiły mu piana i krew. Choć jeździec nie odniósł żadnych ran, był już niemal martwy, do siodła przywiązano go wielką ilością liny; być może zresztą zrobił to własnoręcznie. Kark konia oblepiony był krwawymi wymiocinami. Człowiek ten wił się i jęczał, kiedy zdejmowaliśmy go z siodła. Do jego piersi przywiązany był tobolek, na którym wypisano moje imię.

To była Księga. Na kawałku usmarowanej krwią tkaniny nagryzmołono wiadomość od Mery.

"Bracie nasz, słowa te pisze przyjaciel. Arain nie żyje. Otwarto podziemia. W imię Federa, zabierz Księgę do Paradoxu. Ostrzeż ich przed Radną. Czy teraz już możesz to obiecać?"

Jakże żałowałem, że nie obiecałem jej tego wcześniej. Jaką pociechą mogłoby to być dla niej w ciągu ostatnich godzin. Tej krzywdy nie mogłem już naprawić, choć zrobiłem, jak prosiła, choć uciekłem, sępom pozostawiając moje siostry i kraj, w którym się urodziłem. Nie zdało się to na nic, gdyż teraz odchodzę, by się z nimi połączyć. Nie dość prędko biegłem.

Wokół przesłania owinięto dwa pasma błyszczących, białych włosów, podobnych do siebie jak promienie słońca. Załkałem. Czuję tak wielką gorycz, że przekląłem Federa. Nie uczyniłem ofiary z włosów moich sióstr, bo w Handred nigdy więcej nie miało być dzieci.

Sądny dzień opiszę ci, przyjacielu. Widzę go wciąż w swej pamięci, jak gdybym stał właśnie nad brzegami Umby. Nie

fruwa tam żaden ptak, nawet sęp, choć powietrze ciężkie jest od zapachu śmierci. Zwierzęta, które żyły wśród traw, ucichły. Drzewa stoją przy rzece, wzdłuż dróg, na podwórkach, gdzie śmialiśmy się przy wtórze muzyki fontann. Lecz liście ich uwiędły, wyschły na gałęziach. Szeleszczą nieprzyjemnie na wietrze. W moim warsztacie stoją dzbany, które nie poznają już żaru pieca, glina w koszach stwardniała. Mężczyźni leżą martwi przy pługach, kobiety przy dzieciach. Moje siostry leżą w słońcu, nie pochowane. Nigdy już nie zasiądziemy, radzi, przy ogniu. W wielkim kręgu, miesiąc drogi z jednego końca do drugiego, nic nie pozostało przy życiu. Życie zostało pożarte przez mroczną istotę Radnę, zmoreń bogów, zgubę starożytnych. Ale teraz to już nie ma znaczenia.

Widziałem twój kraj, przyjacielu. Twój ludzie są wysocy i silni. Przed każdymi drzwiami bawią się dzieci, starcy wygrzewają się w słońcu. A teraz powiadam ci, spójrz na mnie i zobacz, co może się z wami stać. Spójrz na tę pokurczoną postać, nędzną i bladą, cuchnącą od ran, śmiertelnie słabą, bojącą się stanąć przed obliczem bogów.

Weź Księgę, przyjacielu. Nie mam nic lepszego, czym mógłbym odpłacić ci za twoją dobroć. Zatrzymaj ją. Nie zagub jej. I zapamiętaj moją opowieść. Może któregoś poranka zapytasz o drogę do Paradoxu.

Taki ziąb dzisiaj.

Przełożyła Kinga Dobrowolska

NANCY ETCHEMENDY

Po raz pierwszy prezentowaliśmy jej prozę na łamach "Fantastyki" w 1989 r. drukując wstrząsające opowiadanie "Obiad w Chez Etienne". "Świątynia na wzgórzu" jest również utworem katastroficznym, zawierającym silny ładunek emocjonalny. Jest to także ciekawy przykład coraz częściej stosowanego przez twórców SF połączenia fantazy i science fiction.

D.M.